

Moja firma, znana amerykańska korporacja z siedzibą w Paryżu, przystąpiła w tym roku do Międzynarodowego Dnia Wolontariatu.

Grupa, w której się znalazłam, miała się udać do wyznaczonej restauracji należącej do sieci: Les Restos du Cœur, by pomagać wolontariuszom w przygotowywaniu i wydawaniu darmowych posiłków najuboższym.

Akcji przyświecał szlachetny cel, dlatego podeszliśmy do niej z wielkim zapałem. Zapał ów nieco jednak przygasł, gdy okazało się, że mamy jechać w zamówionych specjalnie na tę okazję koszulkach, reklamujących naszą korporację i informujących o szlachetności jej pracowników.

Jeszcze trudniej było już na miejscu, gdy kazano nam się ustawić do zdjęcia z chochlami do zupy na tle kotłów z jedzeniem i odrapanych ścian stołówki.

„Jesteśmy najlepsi! Jesteśmy jedną drużyną!” – zaintonowała nasza dyrektorka, nie zwracając zupełnie uwagi na ironiczne uśmiechy wolontariuszy spoza „drużyny mistrzów”.

Zażenowani, postanowiliśmy przejść do czynu i poprosiliśmy kierowniczkę restauracji o konkretne zadania.

Starsza pani podała nam fartuchy informując, że większość klientów to mili i kulturalni ludzie, choć zdarza się, że dochodzi do bójk, gdy ktoś kogoś potrąci albo ubrudzi jedzeniem. Wtedy tworzą się dwa obozy: biali i Arabowie, a zaraz potem tworzy się też trzeci – Polacy, którzy wszystkich sztorcują.

Koledzy byli zachwyceni.

- Będiesz uspokajać – zaśmiał się mój manager Anglik, aczkolwiek Lechita po babce, a nieco zakłopotana swoją gafą kierowniczka wyjaśniła, że Polacy to nie są źli ludzie, tylko mają za silne charaktery, no i niepotrzebnie nadużywają alkoholu.

Czas wydawania posiłku okazał się dla mnie pełnym niespodzianek.

Dowiedziałam się na przykład, że w „Restauracjach Serca” nie serwuje się wieprzowiny, co umocniło mnie w przekonaniu, że laickość Francji jest - delikatnie mówiąc - dyskusyjna. Zaskoczył mnie też fakt, że większość klientów stanowili ludzie czysti i uprzejmi, a jedynie czterech roztaczało wokół siebie woń nieprzetrawionej wódki - do tego, ku mej dumie i uciesze, nie byli to moi współziomkowie.

Klienci nie rzucali się na wydawane posiłki, tylko z zachowaniem pełnej godności grymasili i zadawali pytania typu: „To ryba? Ale co to za ryba, bo ja nie wszystkie ryby lubię.”

Wielu prosiło o wprowadzenie zmian na talerzu: mniej sosu, więcej sosu, sama marchew bez ryby, lub bez mięsa itd.

Słowem, pozwalano sobie na kaprysy niczym w luksusowym lokalu, ale tylko jeden z czterystu konsumentów nakrzyczał na mojego kolegę, że nie chce ryby, tylko kotlet, a na moje pytanie czy ma ochotę na zupę, warknął: „do pani jeszcze nie doszedłem – nie pali się!”.

Gdy pora obiadu minęła, wolontariusze poprosili nas o pomoc w sprzątanii. Niestety nie mogliśmy zostać. Spieszyliśmy się na cotygodniową wideokonferencję z innymi oddziałami naszej firmy. Szlachetnej akcji naszej drużyny mistrzów miano poświęcić dwie strony prezentacji. Trzeba było na czas dostarczyć zdjęcia no i... serdecznie podziękować kolegom z USA za ich „spontaniczny” aplauz.